

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

5 — Ale cóż to? Jeżeli przyszłość potrafi mi wynagrodzić przeszłość i skoro mam nadzieję znaleźć ten spokój w uczuciu ojcowskim, jakie mam dla ciebie? Ale nie mówmy już o tem, drogie dziecko, nie miejsce to, ani pora stosowna. Jeżeli chciałem dzisiaj widzieć się z tobą, to dlatego, że słowa pani Bourgeois zaniepokoiły mnie trochę.

— Jakto? — zapytała młoda dziewczyna z niespokojnym zdziwieniem. — Cóż takiego mogła powiedzieć pani Bourgeois, aby wzbudzić niepokój pana?

— Zwierzyła mi, że od kilku tygodni zauważyła zmianę w usposobieniu twojem, Gilberto!

— Zmianę we mnie? — szepnęła młoda dziewczyna, silnie wzruszona.

— Tak, moje dziecko. Ty, taka wesół i pogodna, stałaś się podobno zamyślona i smutna. Może pani Bourgeois się myli, czego pragnąłbym gorąco. Ale, jeżeli rzeczywiście odgadła, że dręczy cię jakiś smutek utajony, to nie trzeba go ukrywać przedemną, Gilberto. Wiesz, że jestem gotów uczynić największe poświęcenie, aby ci zachować szczęście i zadowolenie.

Przy pierwszych słowach pułkownika, ciemny rumieniec pokrył czoło dziewczęcia, a oczy jej męgły zasły, jakby pod wrażeniem bolesnego uczucia. Ale to wrażenie było przelotne: zrozumiała, że musi opanować wzruszenie swoje i zdobyła się na lekki uśmiech.

— Pani Bourgeois — wyrzekła — okazuje mi prawdziwe macierzyńskie przywiązanie. Otacza mnie staraniem i czuwa nademną bezustannie i to czuwanie jej skore jest do nieuzasadnionego niepokoju. Zaręczam panu, że tym razem pomyliła się.

— A więc, Gilberto, nie masz żadnego powodu do smutku? — nalegał jeszcze pułkownik.

— Żadnego, przysięgam!

— Nie nudzisz się tutaj?

— Oh, byłabym bardzo niewdzięczną!

— Bo, gdyby tak było, powinnaś mi to szczerze powiedzieć, moje dziecko! W twoim wieku ma się różne aspiracje, upodobania, i jeżeli życzyłabyś sobie jakiej odmiany, zabrałbym cię stąd natychmiast, lub umieścił w innym pensjonacie.

Pułkownik nie dokończył jeszcze, kiedy spostrzegł, że młoda dziewczyna zbladła silnie i drżeć zaczęła.

— Co ci jest, Gilberto? — zapytał zaniepokojony.

— Nic, nic zupełnie — odpowiedziała z wielkim wysiłkiem, próbując się uśmiechnąć.

— Jednakże widzę, jak zbladłaś!

— Oh, niech się pan nie niepokoi. To drobnośka! Lekkie bicie serca. To jest bolesne, ale przechodzi po chwili.

— I nic mi o tem nie mówiłaś?

— Po co?

— Pomówię o tem z doktorem... z panią Bourgeois...

— Nie, nie, proszę pana! Nie trzeba mówić nikomu, to dzieciństwo! Oh, widzi pan, już przeszło. Proszę nie myśleć już o tem! Jest mi tu dobrze, wszyscy mnie kochają i gdybym miała ten dom opuścić, sprawiłoby mi to wielką przykrość.

Pułkownik Robert nie przestał jednak obserwować młodą dziewczynę; po chwili rysy jego wypogodziły się i uśmiechnął się dobrotliwie.

— Niech i tak będzie! — Nie chcę przywiązywać za wiele wagi do tej drobnośki, jak ją nazywasz. Zobaczymy później, jeżeli się to powtarzać będzie.

— Pan już odchodzi?

— Powracam do hotelu.

— Ale ja jeszcze zobaczę pana?

— Nie wątp o tem, Gilberto!

— A więc do widzenia! — rzekła młoda dziewczyna z rozjaśnionymi oczami.

— Do widzenia, moje dziecko — odpowiedział pułkownik — i pomyśl czasem o tem, bo ty, pamiętaj, Gilberto, jesteś obecnie jedyną troską mojego życia!

Raz jeszcze przycisnął usta do jej czoła i w chwilę później wychodził z pensjonatu pani Bourgeois.

W ogrodzie jednak spotkał oczekującą na niego dyrektorkę zakładu.

— A więc? — zapytała niespokojnie — Widział ją pan?

— Tak, proszę pani i muszę pani podziękować za jej starania i troskliwość koło Gilberty. Tylko, tak, jak i pani, zdaje mi się, że coś niepokoi jej umysł i proszę panią o wybadanie przyczyny.

— Będę ją obserwować!

— Ale tak, aby się nie domyśliła!

— Niech pan będzie spokojny! Gilberta ma za wiele prostoty w sobie, aby coś podobnego przypuścić mogła. Mam nadzieję, że kiedy pan powróci, będę mogła wytłumaczyć panu ten tajemniczy jej niepokój, z którego może sama sobie nie zdaje sprawy.

Pułkownik pożegnał się z panią Bourgeois i wkrótce znalazł się na bulwarze Bel-Air.

Tymczasem Cypryan Leduc, pożegnawszy się z pułkownikiem Robert, udał się pieszo ulicą St. Germain do swojego mieszkania na avenue de l'Abbae.

W mieszkaniu tem znajdował się obecnie jeden tylko urzędnik. Był to młody człowiek, dwudziesto-kilkoletni, smukły i wysoki, o czarnych włosach i oczach ciemnych, inteligentnych i żywych.

Na szelest otwierających się drzwi, odwrócił się szybko i zawołał:

— Pan Leduc!

Archiwista przywitał się serdecznie z młodym człowiekiem, uśmiechając się z zadowoleniem: — Ołóż to! — mówił wesół. — Poznaję mojego Jerzego! Zawsze punktualny i pracowity. To dobrze, mój chłopcze! Potrafisz sobie utorować drogę w życiu!

— Czy odbył pan podróż szczęśliwie? — zapytał młody człowiek, podsuwając szefowi swojemu duży, wygodny fotel.

— Doskonale, mój przyjacielu, doskonale! Nie czuję nawet najmniejszego znużenia.

— Był pan w Saint-Nicolas?

— Stamtąd właśnie przybywam — odparł pan Leduc, zapalając papierosa.

— I widział pan?...

Cień smutku przebiegł na te słowa po twarzy starego archiwisty.

— Widziałem to wszystko, co było do widzenia — odparł poważnie. — Rozmawiałem z notaryuszem, wszedłem w gawędkę z niektórymi kobietami i przywożę ze sobą dokumenta, którychbym nie odstąpił na wagę złota.

— Ale to jeszcze nie wszystko — wyszeptał Jerzy, patrząc niespokojnie na niego.

Cypryan Leduc skinął głową.

— Nie — odparł — to nie wszystko! Nie zapominałem o niczem, co cię interesować może. Kiedy zebrałem wszystkie potrzebne wiadomości, udałem się na cmentarz.

— Oh, jaki pan dobry!

— Pozostałem tam długą godzinę. Biedna kobieta! Nie była szczęśliwą w życiu, dosyć się napłakała i wycierpiała!

— Moja biedna matka — szepnął stłumionym głosem młody człowiek.

— Ale przynajmniej po śmierci będzie mieć spokój, którego nie miała w życiu. Grób jest w zacisznym miejscu wybrany, otoczony krzewami i kwiatami. Pomodliłem się na tym grobie i, jeżeli mnie usłyszała, to wie, że czuwać będę dalej nad tobą, jak nad dzieckiem rodzonem.

— Panie Leduc, jakąż ja wdzięczność winienem panu!

— Głupstwa gadasz, mój Jerzy! Bądź tylko uczciwym człowiekiem, oto, co żądam od ciebie. I nie daj się osłabić przeciwnościami, jakie na swojej drodze napotkasz. Kto wie, może przyszłość wynagrodzi ci wszystko. Ale już dosyć o tem! Mam kilka ważnych interesów do załatwienia w mieście i nie trzeba tracić czasu na próżno. Bądź zdrow, Jerzy. powrócę wieczorem!

Cypryan Leduc pożegnał swojego wychowanka i zbiegł spieszenie ze schodów.

Na rogu ulicy Saint-Germain wsiadł do dorożki.

— Gdzie mam was zawieźć, obywatelu? — zapytał stary, czerwony dorożkarz.

— Do Belleville, przyjacielu — odparł archiwista, zamykając drzwiczki powozu.

IX.

Druga godzina była, kiedy Cypryan Leduc zatrzymał się na rogu ulicy Pixécourt. Wyskoczył z powozu, zapłacił dorożkarza i zapuścił się w ulicę. Ale nie szedł długo. Wkrótce bowiem zatrzymał się i uważnie przypatrywać się zaczął kamienicy, przed którą się znajdował. Był to dom niski, zaniedbany i wąski. Na parterze mieścił się magazyn konfekcyj.

Stara kobieta stała na progu domu. Cypryan Leduc podszedł do niej.

— Przepraszam panią — rzekł, rzucając badawcze spojrzenie wokół — czy pani dawno tu mieszka?

— Już prawie dziesięć lat — odparła stara, patrząc podejrzliwie na niego.

— Bo, widzi pani, to jest numer domu, którego szukam, ale numer ten może został zmieniony?

— A więc szuka pan kogoś, który niegdyś mieszkał w tym domu? — zapytała stara.

— Tak.

— Jakże się nazywała ta osoba?

— To był Szymon, stolarz.

— Ah, ah!

— Pani go zna?

— Pewnie! Mój mąż i ja właśnie zastąpiliśmy go tutaj.

— A cóż się z nim stało, odkąd opuścił tę ulicę?

— Ho, ho! Zawiele pan wymaga odemnie! A zresztą, ja nie lubię ludzi, którzy się mieszają w cudze sprawy.

Cypryan Leduc uśmiechnął się dobrotliwie.

— Niech się pani uspokoi, nie jestem tym, za kogo mnie pani bierze. Jeżeli szukam tego Szymona, to tylko we własnym jego interesie. Niech mi pani wierzy, on by się wcale nie zgniewał, gdyby wiedział, że go poszukują.

Stara kobieta spojrzała na niego łagodnie.

— Tu chodzi o wielką rzecz — rzekł jeszcze Cypryan Leduc, pochylając się ku niej. — Jeżeli ten Szymon, który tu mieszkał, jest tym człowiekiem, o którym mi mówiono — za kilka dni stać się może bogatym.

— Co pan mówił — wykrzyknęła zdumiona kobieta. — Ano, ten nie będzie mógł się żalić na los!

— Nieprawdaż?

— Taki pijak!

— Mówiono mi o tem.

— Miał u siebie dwoje dzieci, istne aniołki, a bił je, jak drzewo...

— Tak, tak, właśnie.

— Toteż starsza z tych dziewcząt nie zniosła tego dłużej... Pięknego dnia opuściła budę i poszła sobie. Kiedyś tu przyszli zastąpić tego Szymona, już jej nie było. Została tylko młodsza, dziesięcioletnia, biedactwo, ładne jak obrazek, ale bledziutki, bo nie było tu dobrze, każdy to przyznać musi. No, ale jeżeli los tak się obchodzi dobrze z podobnymi nędznikami, to już w nic człowiek wierzyć nie może!

— Pani ma zupełną słuszość! Takich ludzi, jak my, podobne szczęście nigdy nie spotkał! Czy nie wiadomo, dokąd się ten Szymon wyprwadził?

— Kto go wie? Zanim stąd wyszedł, wysprzedał się do ostatka. Podobno umieścił się w jakiejś pracowni w Belleville, gdzie mało pracuje, a dużo pije. Ale zaraz! Przypominam coś sobie! Tak, tak, mówiono tu kiedyś, że go widziano w jakiejś norze w Romainville.

Cypryan Leduc zapamiętał sobie dobrze tę wskazówkę, o którą tylko właśnie mu chodziło. Po pewnej chwili pożegnał starą kobietę i oddalił się. Chciał jak najprędzej znaleźć się na ulicy Romainville.

Wskazano mu tam chętnie dom, w którym mieszkał Szymon, stolarz.

Było to zabudowanie robotnicze, kilkopiętrowe i obszerne, takie, jakie się często spotyka na przedmieściach Paryża. Isny ul ruchliwy i hałaśliwy, przez który przewijał się bezustannie tłum kobiet, starców i dzieci i z którego w tej chwili dobiegał głuchy szmer rozmów, nawoływań i klekot maszyn do szycia.

Przy głównym wejściu znajdowała się łoża portyera, umieszczona tuż przy schodach. Czuwanie nad lokatorami, dochodzącymi do stu kilkunastu, nie było zbyt łatwą rzeczą.

Dozorczynią tego domu była pani Langlois, matrona o obfitym biuście i brzuchu, której korpulentność imponowała wszystkim.